

# PION

CENA 50 GR  
ROK VI NR 43 (264)  
WARSZAWA  
30 PAŹDZIERNIKA  
1938 ROKU  
TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

ZOFIA KUNICKA — ZADUMA NIECHCIGA  
GIUSEPPE UNGARETTI — WIERSE  
H. KRUMPEL-ZAKRZEWSKA — MANIA PRZEŚLADOWCZA  
KONRAD WINKLER — OTWARCIE SEZONU W I. P. S.  
WANDA BRZESKA — PAMIĄTKI MUZYCZNE POZNANIA

CZESŁAW ZGORZELSKI

## MARIAN ZDZIECHOWSKI

I

Każdy, komu przypada zadanie syntetycznej charakterystyki twórczości Zdziechowskiego, staje przed dylematem, „komu dać w Zdziechowskim pierwszeństwo: czy pełnemu polotu badaczowi prądów religijnych, czy monografistcie podstaw duchowych kultury nowoczesnej; historykowi literatury powszechnej, czy badaczowi psychologii narodów słowiańskich; politykowi o wielkiej wyobraźni, czy subtelnemu artyście-pisarzowi; nie wiadomo, co w nim specjalnie ucieci: odwagę przekonań i śmiałość wypowiedzania, czy apostołstwo moralisty i wzniosłość poety?” (z przemówienia rektora Opoczyńskiego, *Pięćdziesiątolecie pracy pisarskiej Mariana Zdziechowskiego*, Wilno 1933, str. 23). A jednak mimo tej niezwykle różnorodności jego zainteresowań i mimo zadziwiającej rozległości pól, uprawianych przezeń w ciągu półwiecza pracy pisarskiej, cały dorobek twórczości Zdziechowskiego posiada tak wiele cech wspólnych, przeniknięty jest tak jednolitą i konsekwentnie utrzymaną postawą życiową autora, że poszczególne książki stają się tu jakby wyodrębnionymi tomami, samodzielnymi członami jednego olbrzymiego dzieła życia, które zostawił po sobie.

Rozpoczął je w epoce pozytywizmu, w okresie, gdy naukę wyniesiono na zawrotne wyżyny Boskiej niemal władzy i siły. I to zapewne było jedną z przyczyn, które skierowały Zdziechowskiego na pole pracy badawczej. W kilkanaście lat później tak oto — z uśmiechem lekkiej ironii — scharakteryzuje ten pierwszy etap swej pracy: „...żyjąc przez długie lata w pozytywno-buckle-owskiej atmosferze, nasiąknęłam właściwą całemu pokoleniu memu przesadną, bo wyłączną czcią dla nauki. Miałem ją za najwyższą prawodawczynią ludzkości, chciałem przeto jako jej kapłan wystąpić przed czytelnikiem... Zresztą żyło się jeszcze wówczas życiem Gustawa, a nie narodził się był Konrad...” (*Byron i jego wiek*, Kraków 1894, I str. VII).

Ale już od pierwszych wystąpień na polu badań literackich znać dążność Zdziechowskiego do zaakcentowania swego własnego samodzielnego stanowiska, ambitną próbę wytknięcia sobie — choćby samotniczej — ale pionierskiej drogi naukowych dociekań. W pracy swej nie postępuje krok w krok za Tainem, jak to czyniła większość ówczesnych krytyków literackich, ale metodę jego stara się przekształcić, uzupełnić szzerokimi studiami porównawczymi, przeprowadzanymi na sposób Brandesa. „Stanać na taine'owskim stanowisku psychologii jednostek i szczeptów — powiada w przedmowie do pierwszej swej książki p. t. *Mesjanisci i słowianofile* (Kraków 1888, str. V — VI) — i zejrzeć w głąb duszy autora oraz narodu, który go wydal; a następnie, idąc w ślad za Brandesem, ogranać okiem

pokrewne objawy wśród innych narodów i plemion — oto, zdaniem moim, ideal krytyki”.

A jednak mimo próby przyswojenia sobie tych metod i mimo pozytywistycznie krytycznego stanowiska wobec omawianych przejawów mesjanizmu, jakże dalekie jest to pierwsze dzieło Zdziechowskiego od przeciętnego typu prac z tego okresu. Już tu bowiem zaznaczyły się bardzo wyraźnie tendencje przyszłego pisarza-moralisty i historyka kierunków filozoficzno-religijnych, któremu dzieła literackie służą do szerokiej, syntetycznych wniosków o prądach umysłowych epoki i zbiorowej psychice narodów, — który nie może powstrzymać się od etycznej oceny hasel i poglądów omawianych utworów poetyckich. Już tu dochodzi do głosu entuzjazm wobec wysokiej wartości moralnej polskich mesjanistów, wobec „ognia ich przekonań” i „mglistej a uroczej tajemniczości marzeń”, „wobec wielkich ich cierpień i gorącej miłości, która podnosi i uszlachetnia serca” (str. 228).

Ale to, co w tej pierwszej książce Zdziechowskiego ujawniło się jeszcze w formie na pół uświadomionej i jakby na marginesie głównych wywodów pracy, stanowi już je-

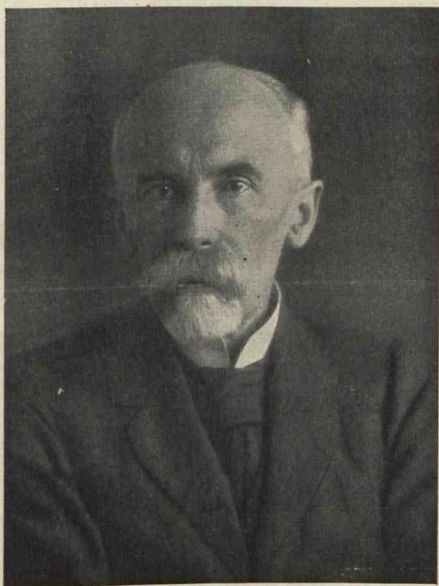
dną z zasadniczych właściwości w następnym jego dziele z literatury porównawczej, wydanym p. t. *Byron i jego wiek*. Dzieło to zasługuje na uwagę przede wszystkim jako pierwsza u nas próba badań komparatystycznych, przeprowadzona na tak rozległym terenie i zdążająca do uchwycenia różnorodnych przejawów jednego z najbardziej znaczących prądów romantyzmu, wypływającego z poezji Byrona. Temat i materiał tej pracy jest więc literacki, ale postawa autora i główny cel, do którego zmierza, różni się znacznie od postawy i celu badacza literatury. Nie znaczy to wcale, aby sądy wypowiedziane w tej książce nie posiadały żadnej wagi dla badań historyczno-literackich, jest to dzieło, obok którego nie wolno przejść nikomu, kto by podjął dziś zagadnienie byronizmu, wiele zdań Zdziechowskiego — jak np. niektóre spostrzeżenia o Lermontowie lub Słowackim, a przede wszystkim II tomu, zestawiające wielkich poetów romantyzmu — nie straciły dziś ani trochę ze swej aktualności. Niemniej jednak głównym przedmiotem uwag Zdziechowskiego nie jest ani literacka wartość omawianych utworów, ani też historyczne znaczenie byronizmu w ewolucji sztuki poe-

tyckiej. Szkice poświęcone poszczególnym poetom noszą najczęściej charakter psychologicznych dociekań, ale celem ich nie jest *wszechstronny* wizerunek duchowy omawianych pisarzy, lecz przedstawienie stosunku ich do ideałów i tęsknot Byrona, ujęcie postawy poetów romantycznych wobec „wiecznej zagadki celu istnienia”, którą „poruszał Byron w pieśniach donośnych a smutnych i porwających wszystkie serca szlachetne” (II. 670).

Do tego dołączyło się przeświadczenie o wyższych, moralnych obowiązkach krytyki literackiej, przekonanie, że „krytyka może być czymś więcej niż gałęzią psychologii, bo rozmowa... z wieszczami, którzy w najświętszych chwilach życia skupiali w sobie tęsknoty i powily ludzkości”. „Mówiono dotąd — powiada w przedmowie — i mówią zawsze o krytyce naukowej, ale czas zastanowić się nareszcie nad moralnym krytyki obowiązkiem i zrozumieć, że lepiej pióro złamać, niż pisać, nie siląc się myśli ludzkie kierować ku dobru” (str. VIII).

Nie było to wcale równoznaczne ze stanowiskiem utilitaryzmu w sztuce, owszem, uznawał zawsze, że poezja winna służyć przede wszystkim pięknu, ale piękno to pojmował po platońsku, jako „odblask doskonałości”, związanej „węzłem najściślejszym” z tęsknotą do nieskończoności, z której — zdaniem jego — „wypływa tak sztuka jak religia” (*Szkice literackie*, Warszawa 1900, str. 275). Toteż nie żądał od poetów postawy, która by pokrywała się z jego własnymi przekonaniem, stał konsekwentnie na stanowisku katolickiego uniwersalizmu i umiał uszanować każdą ideologię choćby nawet sprzeczną z katolicyzmem, skoro tylko dostrzegł w niej ową „tęsknotę do nieskończoności”, stanowiącą „najszlachetniejszy pierwiastek ducha ludzkiego”. „Niech artysta wyznaje jakie chce poglądy w zakresie religii, etyki i polityki — powiada w jednym z *Szkieców*, — niech porusza, jakie mu się podobają przedmioty..., hyleby tylko sam miał duszę przejętą pragnieniem doskonałości, ideału moralnego, hyleby palił się w niej ogniem miłości Bożej...” (I. c. str. 286).

Takie też stanowisko zajmuje Zdziechowski w dalszych swych pracach, przede wszystkim zaś w książkach poświęconych religijnym i filozoficznym prądom XIX w. p. t. *U opoki mesjanizmu i Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa*. Najbardziej znamienne jest tu bodaj stanowisko jego wobec teorii Tolstojana: „Bez końca spierać się można z Tolstojem jako filozofem, teologiem i egzegetą — powiada w jednym z tych dzieł (*Pesymizm*, Kraków 1915, II str. 106—107), — dowolność twierdzeń jego w tych sprawach jest widoczna. Ale nie wolno mierzyć się z nim jako moralistą. Cnoty, które on głosi, są to najwyższe wykwyty chrześcijaństwa”.



MARIAN ZDZIECHOWSKI

fol. Jan Bulhak



## II

Prace naukowe z dziedziny literatury i historii prądów umysłowych nie wyczerpują jeszcze dorobku twórczości Zdzichowskiego. Wojna światowa, rewolucja rosyjska, odzyskanie niepodległości i pierwsze kroki Rzeczypospolitej dostarczyły mu zbyt wiele wzruszeń, myśli i spostrzeżeń, by mógł pozostać bez śladu w jego działalności pisarskiej. Znalazło to swój wyraz w postaci kilku książek o charakterze publicystyczno-ideowym, zawierających szereg artykułów, odczytów i przemówień, odznaczających się wyjątkowym żarem ducha, poryjającą siłą przekonań i szczerością podniosłych, szlachetnych uczuć. W żadnym z dotychczasowych utworów Zdzichowskiego nie wypowiedział się tak pełnie i z taką nieograniczoną swobodą jego talent świetnego pisarza i stylisty. Wszędzie — czy to we wspomnieniach z okresu rewolucji w książce *O wpływach rosyjskich na duszę polską*, czy to w artykułach o Rosji sowieckiej w zbiorze p. t. *Europa, Rosja, Azja*, czy wreszcie w przepięknych mowach rektorskich, wydanych pod jakże trafnym tytułem: *Walka o duszę młodzieży* — wszędzie odnajdziemy tę samą jednolitą postać autora wobec życia, wszędzie przebiega się najwyżej oburzenie przeciw okrucieństwu, niesprawiedliwości i anarchicznemu rozpasaniu moralnemu sąsiada zaś wschodniej granicy, wszędzie czujemy głęboką troskę o czystość duchową narodu, serdeczny ból i upokarzające zawstydzenie w zetknięciu z każdym przejawem małości ducha czy to będąc wypadki snobistycznego kultu sowiezickiego, czy też „narodowe” ekscesy antysemitki.

I w pismach tych z biegiem lat coraz silnie poczęło odzywać się przeciwie jakiejś strasznej, niemiunkionej katastrofy, do której świat cały zbliża się z zawrotną szybkością, przekonanie, wypływające ze świadomości, że „bez ideału, bez wiary w coś absolutnego, nieokreślenie ponad zmienność i znikomość wzniesionego, człowiek z rozumem i sercem istnieć nie może”, że „idealnie egoistyczne — tak klasowe jak narodowe — ideałami nie są, bo zamiast wartości, epychają w nizinę zadróżki i nienawisć” (*Europa, Rosja, Azja*, Wilno 1923, str. 331). Ta nuta „katastrofizmu” — wetrzająca patos proroka, wieszczącego nadochodzącą zagładę świata, przenika wszystkie pisma i wypowiedzi Zdzichowskiego z lat ostatnich, staje się właściwością, usprawiedliwiająca całkowicie to porównanie, które uczynił w jednym ze swych przemówień: „Proszę tego nie brać za megalomanię, jeśli małość moją porównam z wielkością owych mężów... proroków Izraela, którzy piętnowali odstępstwo narodu ewojego od prawdziwego Boga, przepowiadając mu męki wygnania, tulaczki, pogardy, ucieku” (*Pięćdziesiątce*... I. c. str. 33). I w tej atmosferze wysokiej odpowiedzialności pisarza, dostrzegającego to czego inni nie mogą czy nie chcą dostrzec, w atmosferze silnego napięcia uczuć i wyobraźni każdy zwrot, każdy wyraz Zdzichowskiego nabiera szczególnej wartości emocjonalnej, staje się brzemniasty wagą słów, wypowiedzianych „w obliczu końca”.

## III

Odrębną i zdawałoby się dość nieoczekiwaną grupę utworów w puściźnie literackiej Zdzichowskiego stanowią jego ostatnie prace o charakterze biograficzno-historycznym, książki o Napoleonie III i Chateaubriandzie (*Chateaubriand i Napoleon*, *Chateaubriand i Bourbonowie*). Ale dzieła te są tylko pozornie nieoczekiwane; już pierwsze bowiem prace Zdzichowskiego na polu literackim świadczyły o stałym zainteresowaniu wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami, odnoszącymi się do życia o-mawianych postaci, już w pierwszych książkach i szkicach literackich w centrum rozważań Zdzichowskiego stał zawsze człowiek; człowiek był głównym przedmiotem dociekań autora i nie, cokolwiek odnosiło się do niego i mogło pośrednio lub bezpośrednio świadczyć o jego sylwetce duchowej, nie było obojętne dla Zdzichowskiego. „Dzielo artysty — powiada w *Pesymizmie* (I. c. I. str. 74) — odbija jego duszę i im odbicie to jest wyraźniejsze, tym potężniej na nas działa. Z szeregiem lat ułatnia się z pamięci naszej treść utworu, który był... źródłem zachwytu, błędną nam w myśli zalety formy, która... wyobraźnie pięciła, pozostaje jednak gdzieś w głębiach najczystszych tęsknot wdzięk dalekiego wspomnienia o zetknięciu się z duchem czystym i wyższym, który owo dzieło stworzył”.

Toteż w żadnej z książek Zdzichowskiego analiza zawartości ideowej utworów literackich nie jest celem sama w sobie, zawsze jest to tylko jeden ze środków poznawania psychiki badanego pisarza. Stąd te marginesowe, zbędne na pozór uwagi o pochodzeniu i warunkach rodzinnych o-mawianych poetów, stąd oberne informacje biograficzne w książce *Byron i jego wiek*, stąd wreszcie dłuższe dygresje, zawierające wspomnienia o swych osobistych kontaktach ze współczesnymi pisarzami i uczonymi. A widać, że do tych osobistych zetknięć Zdzichowski przywiązuje szczególną wagę, że są one jednym z cennych źródeł jego wiedzy o człowieku i życiu, że nie są wcale wyrazem jakiejś snobistycznej ciekawości, ale jeszcze jednym środkiem docierania do głębi duszy człowieka.

Oto w jaki sposób wspomina np. swe pierwsze zetknięcie się z Tolstojem: „Żywo zachowuję w pamięci tę chwilę w Jasnej Polanie, gdy pierwszy raz Tolstoja ujrzałem. Gdy do pokoju, który mi przeznaczono, ten człowiek z twarzą chłopca i w chłopskim stroju wszedł szybkim krokiem i przywitał mnie z wykładową uprzejmością, obrzucając zarazem przenikliwym, do dna duszy sięgającym spojrzeniem, odniosłem wrażenie, że miałem przed sobą nie filozofa, nie artystę, lecz przede wszystkim pana, światowca. W ruchach jego i w całej postawie odbijało się to, co znamię pańskości stanowi: wolność od trosk materialnych, „świadomość zajmowania produkującego miejsca... A to zespolenie chłopca i pana w jednej osobie było żywym obrazem duszy, twórczości, filozofii człowieka, w którym przesyła kultury wywołał marzenie o powrocie do pierwotnej prostoty” (*Pesymizm*, I. c. II str. 65 - 6). Przebiega się w tym tęsknota do jak najbardziej bezpośredniego zetknięcia się z duszą ludzką, do wydarcia jej tych tajemnic, które decydują o takiej a nie innej reakcji wobec otoczenia i życia, jakieś humanistyczne zaciekanie najbardziej istotnymi doznaniem psychiki omawianych postaci.

Przy tym w sposób szczególny interesują Zdzichowskiego te postaci, w których duszy przeczuwa pokrewne sobie elementy, ci poeci, których utwory wyrażają jego własne tęsknoty i marzenia, i ci uścisliście lub mężowie stanu, których poglądy lub czyny budzą w jego duszy wyjątkowe uznanie i szacunek. Stąd też u Byrona dostrzega i na pierwszy plan wysuwa to właśnie, co w jego poemacie odczuł jako wyraz własnej duszy, t. j. wiecznie dręczącą „zagadkę celu istnienia”, bunt w imię nieskrępowanej swobody i „potęgę uczucia w walce ze złem”, stąd ten szczególnie bliiski stosunek do takich pisarzy, jak Tolstoj lub Schopenhauer, do takich poetów jak Shelley, Lermontow czyłowacki, stąd wreszcie ten wzruszony, ser-

deczny ton, gdy mówi o idealizmie Lermontowa, pesymizmie Leopardiego czy poetyckości duszy Novalisa.

Ten żywy, emocjonalny stosunek Zdzichowskiego do omawianych przez się postaci staje się nieraz przyczyną jednostronności ich wizerunku, gdyż kosztom cech istotnych wysunięte zostają jako właściwości główne lub wyłączne te strony ich psychiki, które bliższe są duszy Zdzichowskiego, ale z drugiej strony wypowiediane zdania nabierają znaczenia wniosków, potwierdzonych przez własne wewnętrzne doświadczenie, wpływając na niezwykle ożywienie postaci i zbliżenie ich do czytelnika. Jest to właśnie jedną z przyczyn tego tajemniczego uroku pism Zdzichowskiego, że to co mówi o Lermontowie, „Lermontinie czyłowackim podbija szczerością prawdy wewnętrznej, wzrusza ukrytą siłą liryzmu, ujętego w formę zdań, która niedwuznacznie świadczy o emocjonalnym oddźwięku w duszy autora”.

W związku z tym dziwny mogłyby się wydać wybór w biograficzno-historycznych pracach Zdzichowskiego. Dziś, gdy wielkość postaci mierzy się nie ideami, lecz rezultatami ich czynów, gdy z oddalenia ubiegłych lat dostrzegamy tylko zewnętrzne zarysy ludzi, zadziwiloż może niedojrzałe czytelnika ten rehabilitacyjny sens prac Zdzichowskiego o tak niefortunnym polityku jak Napoleon III i tak próżnym poecie „pozy i frazesu” jak Chateaubriand. A wszakże i tu umiał Zdzichowski dotrzeć do głębi wewnętrznej swych bohaterów, umiał ocenić piękno moralne ich tęsknot i ideałów, oddając cześć dalekowzrocznemu idealizmowi Napoleona III i solidaryzując się z Chateaubriandem w „gorącym przywiązaniu do wiary przodków”, w „rycerskiej czci dla tradycji” i w „głębokim przejęciu się ideą wolności”. I tu znów wysuwa na czoło te właściwości, które najgłębiej poruszają jego własne serce. „Nie znam poety — powiada o Chateaubriandzie, — który by tak głęboko czuł i z tak przejmującą szczerością wypowiedział, że piękniejsze nad wszelkie piękno myślowe jest to, co nieuchwytnie i przez nieuchwytność swoją staje się obrazem i podobieństwem wyzwolonego ducha” (*Chateaubriand i Napoleon*, Wilno 1932, str. X).

<sup>1</sup> Uderzało to zwłaszcza w wykładach profesora, w których cytaty z omawianych poetów lub pism odczytywane były nieraz w taki sposób, że słuchacz przyjmował je nie tylko jako wypowiedzi cytowanych pisarzy, ale też jako wyraz uczuć i myśli profesora.

GIUSEPPE UNGARETTI

## RZĘKI

Wsparłem się o drzewo okaleczone  
pozostawione w tej dolince  
w której rozpościera się ospałość  
cyrku  
przed albo po widowisku  
i obserwuję  
spokojny spacer  
chmur poprzez księżyc

Rankiem wyciągnąłem się  
w urnie wody  
i niby relikwia  
byłem pełny spokoju

Isonzo płynąc wygładza mnie  
jak jeden ze swoich kamieni

Dźwignąłem  
swoje nędzne kości  
i poszedłem sobie  
jak akrobata  
po wodzie

Przykucałem  
obok swego ubrania  
zniszczonego w wojennym trudzie  
i jak beduin  
pochyliłem się  
na przyjęcie  
słońca

To jest Isonzo  
to najwyraźniej  
rozpoznałem w sobie  
uległe drżenie  
wieczności

Prawdziwa męka  
kiedy  
nie mogę zaufać  
harmonii

Ale te tajemnicze  
rece  
które mnie rozczyniają  
darują mi  
rzadką  
szczęśliwość

Przebiegłem znowu  
epoki  
mego życia  
Oto są  
moje rzeki

Oto Serchio  
z którego czerpał  
ze dwa tysiące lat  
chłopi z mojej wioski  
i mój ojciec i moja matka

Oto Nil  
który mnie widział  
jak rodzilem się i rosłem  
i jak zmylem się w nieświadomości  
na rozległych równinach

Oto Sekwana  
w jej mętności  
wmiessany  
zobaczyłem siebie

To są moje rzeki  
zawarte w Isonzo

I to jest moja boleść  
która poprzez każdą  
przełata  
teraz kiedy jest noc  
kiedy życie wydaje mi się  
kilechem  
rozkwitającym  
ciemności

## NOC MAJOWA

Niebo wkłada minareton  
na głowy  
wianuszki światel

## INNA NOC

W mroku  
rękami  
zniebniętymi  
rozpoznałem  
swoją twarz  
Spotałem że jestem  
opuszczony w nieskończoności

Przełożył KAZIMIERZ SOWIŃSKI

## IV

Krytyczno-badawczej twórczości Zdzichowskiego nie da się zamknąć bez reszty w jakiegolwiek historyczno-literackiej schematy. Zapewne, znajdując się i to owe właściwości, które pozwolą zestawiać go z twórczością modernizmu; skłonność do marzycielstwa, przewaga uczucia i wyobraźni nad rozumem, silne nasytowanie dzieł liryzmem, zainteresowanie głębią psychiki ludzkiej, dążenie do uchwylenia ją na pół świadomych, niepochwytanych przejawów, nastrojowość i metaforyzmy stylu — wszystko to łączy się niewątpliwie z niektórymi tendencjami epoki, w której powstawały najważniejsze dzieła Zdzichowskiego, ale nie stanowi bynajmniej zespolu cech, które by wystarczyły do charakterystyki jego jako krytyka i pisarza. I nie chodzi tu nawet ani o umiejętność włączania każdego zjawiska literackiego w dynamikę prądów ogólnoeuropejskich, ani też o tę zadziwiająco zdolność do syntetycznego ujmowania wielkich talentów poetycznych metodą zestawiania ich ze sobą, czego przykładem mogłyby służyć świetne charakterystyki porównawcze Słowackiego i Lermontowa, Puszkina i Mickiewicza, Goethego i Schillera w *Byronie* lub w *Pesymizmie*. Nie chodzi także o te „żywość beletrystyczną i konkretność pamiętnikarską”, o czym tak trafnie pisał prof. Lednicki (*Przyczynek do literatury*, Kraków 1935, str. 11), ani też o prostotę w doborze wyrazów i naturalność ich powiązania w dynamiczny, rwący się tok prądu.

Chodzi tu przede wszystkim o postawę Zdzichowskiego wobec wszelkich zjawisk, o których pisał, o to co stanowi główną istotę jego indywidualnej odrębności, tak ostro zarysowującej się na tle współczesnych mu pisarzy. Może najtrafniej ujęła to Orzeszkowa, gdy wyraziła się o Zdzichowskim, że „ukazuje on przedmiot w świetle wieczności” (*Listy*, Warszawa 1938, t. II, cz. 2, str. 113). Właściwość ta zjawia się bowiem nie tylko w pismach filozoficzno-religijnych i nie tylko w artykułach publicystycznych, ale także w historyczno-literackich studiach Zdzichowskiego. Bo też zdaniem jego „o kresu wszelkich estetyczno-krytycznych rozmyślań” staje nieodwołalnie przed każdym badaczem „kwestia stosunku sztuki do religii, artysty do Boga” (*Szkice*, I. c., str. 236). Wypływa to także z ujmowania wrażeń estetycznych, jako doznań związanych nierozłącznie z tęsknotą ku bezkresom nieskończoności.

A duszę miał niezwykle czułą na każdy przejaw piękna i poezji. Dostrzegał je nieraz tam, gdzie oko innych ślizgało się po powierzchni. Umiał zawsze odróżnić pleydy od ziarna, okliwo-sentymentalne wyrazy pustki wewnętrznej od prawdy i głębi istotnej sztuki. W imię wielkiego posłannictwa poezji powstawał namietnie przeciw „karmelkowym” wierszom, zdobywającym laury na rautach publicznych (*Szkice*, str. 187), w obronie piękna liturgii kościelnej protestował przeciw „ekliwym deklamacjom” niektórych księży do nabożeństwa, przeciw „obrazom i nosągom rokokowych Świętych o poprzecanych oczach i powyciąganych w górę ramionach”, gdzie „pustkę wewnętrzną i nieumiejność ekupienia myśli przed obliczem Bożym zastępuje nieszczerą, sentymentalną deklamacją” (*Pesymizm*, I, str. X — XI).

A jednocześnie jakże silnie reagował na prawdziwie piękno sztuki i natury, jakże głęboko ujął np. znaczenie muzyki kościelnej, której sam tak wiele zawdzięczał: „Wszystkie wywody apologetyki — wyznaje we wstępie do *Pesymizmu* (I, str. XII) — ten tylko dla mnie miały skutek, że były pobudką do nowych wpatwień, ale przed potęgą gregoriańskiego śpiewu, wyrażającego najczystszy i najgłębszą esencję duszy, której żadne słowa... wyrazić nie są w stanie, wpatwienia te ułatniały się gdzieś i ginęły”. Potęgą muzyki obudzone — powiada gdzie indziej (str. XI — XII) — „zmarły chwsta. waly przede mną światy, które niszczyła filozofia... Wraz z *Dixit Dominus* schodził powiew pustyni Indii i zwiewające z duszy wpatwienia jej i troski i smutki przenośli w dal brzegów Jordana. Stawałem wśród ludu wybranego... Widziałem namioty pasterskie i trzody liczne i wielbłądy... medrów i patriarchów... W ich gronie byłem; stawało się, że Bóg mój „pomiędzy księżycy ludu swojego” umieszczał, abym dzieło ich w miarę sił słabych prowadził”. Pod wpływem muzyki niespornej z wpatpięciem filozofa przestaczał się w poetę i proroka, zasluchanego w słowa Boże. Bo też był to pisarz, który siłą wyobraźni i uczucia oraz szlachetnością swej pięknej sylwetki duchowej wyróżniał się istotnie „pomiędzy księżycy ludu”. I z równą słusnością można by zastrzeżać doń słowa, które wypowiedział o Novalisie: „Poetyckością osoby swojej czarem zapatrzenia się w świat rzeczy wiecznych o-promieniła i uniemożliwiała wszystko, co spod pióra jego wyszło”.

CZESŁAW ZGORZELSKI



ZOFIA KUNICKA

## ZADUMA NIECHCICA

Jest w końcowym tomie powieści Marii Dąbrowskiej *Noce i dnie* piękny fragment — ostatni spacer Bogumila Niechcica, po którym następuje choroba i śmierć. We fragmencie tym najśliczniej uderza w serce i najbardziej się wypowiada myśl całego cyklu powieściowego, osobiście ważna dla naszych czasów. Ukazana we wspaniałej artystycznej kondensacji, myśl ta zawiera ogrom treści, rozwijającej się w dwóch kierunkach. Jednym z nich jest cofnięcie się w przeszłość, historyczna niejako i psychologiczna geneza upadku klasy ziemiańskiej, drugim — wskaźnik, rodzaj *idée motrice* dla współczesności.



MARIA DĄBROWSKA

Otóż Bogumil Niechcic wychodzi na pamiętowskię pola rozplanować porządek wiosennych robót. Śmiertelnie chorzy oglądają podobno w każdej kolejnym okresie zdania życia. Bogumil znajduje się jeszcze w pełni władz, ale już na cienkiej przełęczy, wiodącej ku śmierci. Jeszcze czyni plan robót na tym uzyskanym na własność kawałku ziemi, ogląda pola, wiosenne niebo, zachód słońca, gotów dalej i dalej wśród nieustannego pochodu dni i nocy ciągnąć swoje rolnicze prace. Ale naprawdę dzień jego już się kończy, oblicze duchowe — jak księżyc w ostatniej kwadrze — w trzech czwartych już się odwraca w ciemną i nieznaną stronę.

Ta chwila daje mu ostrość widzenia, jak gdyby dowodził do szczytu, skąd dane mu jest oglądać nie tylko obraz i sens własnego życia, ale i sens ludzkiego życia w ogóle, ni to zarys prawdy, do której zawsze nieświadomie dążył. „Dla ludzi, co kończą się na sobie i żyją tylko powierzchowną obserwacją i logicznym rozumowaniem — pieczę o ojca Kalmieca — był może nawet poposłitym zjadaczem chleba, może nawet filistrzem i zaściankowcem... Czucie mówi mi, że Tatusi nie był tylko przystosowującą się do łada jakiej formy siła robocza; on nie przystosowywał się, on wchodził w związek z tym, co w najpospolitszym życiu jest wiekiście i boskie”.

Młodość Niechcica rozpoczęła się udziałem w powstaniu, ranami, ruiną majątkową, poniekąd fizyczną i moralną. Przechodził różne losy, aż — eyn wywłaszczonej z ziemi rodziny — powrócił na rolę, jako rzadca i administrator cudzych folwarków. Jego siły nie zalały się jednak, były to zasoby z rodzaju tych, które nie giną nigdy, lecz trwają w utajonej postaci, zdolne rozkwitnąć w synach nowym i szlachetnym kształtem. Dzieje rodziny Niechciców, to nie tylko dzieje pewnej klasy społecznej; to dzieje psychicznego gatunku człowieka.

Mnóstwo ludzi, mnóstwo rodzin słacheckich, zamieszanych w wypadki 1863 r., uległo zagładzie, jak gdyby akt ofiary przestał ich siły wewnętrzne, był tym ostatnim wyładowaniem, po którym musi nastąpić zastój i rozkład. „Ten świat (przypominają się Niechcicowi słowa jego ojca) jest zamknięty ze wszystkich stron. Nie ma z niego żadnego wyjścia”. Jakież są tego przyczyny? Przyczyny tkwią w zaniku własności plastycznej, zaniku giętkości, jaka pozwala żyjącemu organizmowi przeobrazić się pod naciskiem zmienionych okoliczności. Ten świat zaś zamknięt przed sobą drogi wysiłku wewnętrznego, zaniechał wszelkich prób, wszelkich zmian, w których tkwił przecież istota życia, stał się stojącą

wodą. Ograniczywszy się do tradycji, nawyków i kultu pieniądza, zniszczyła w sobie klasa ziemiańska pierwiastek wędrowności, ów żywioł przechodni, o którym w oświeceniowej dumie Niechcica, że jest „prawdopodobnie stanowiskiem człowieka”. W nim jednak przetrwał instykt wędrownicy i wartości ideałów wśród zmienionych warunków nie uległ zdziczeniu, lecz poszedł w głąb ścieżkami wód podziemnych. Może konieczny był dla nich wypoczynek, zatajenie w cichej i cierpliwiej pracy, aby z pokolenia Bogumila wyrósł mogło bojujące, wolne i szczęśliwe pokolenie Agnieszki i Marcina.

Niechcic jest prawie przez całe życie administratorem cudzych majątków, administratorem utalentowanym i świetnym. Pracuje nie dlatego, by się dorobić — jak Kalmela, ale dlatego że zawód swój kocha. Ziemia nie jest dla niego warsztatem dochodowym, lecz polem ukochanej twórczości. Wbrew dążeniu większości ludzi, Niechcic bynajmniej nie zmierza do „swego”. Kiedy zaś los prawie wbrew jego woli czyni go właścicielem małego forwarczku Pamiętowa — wywołuje się osobliwa sytuacja: własność budzi w nim uczucie niewygody i zakłopotania. On, który „jak dowódca” kierował gromadą ludzi, nie umie znaleźć właściwego stosunku do służby na swoim kawałku ziemi. Tłumaczy sobie, że Pamiętów jest za mały na jego rozmach gospodarczy, za duży na chłopskie gospodarstwo — ale nie o to chodzi. Oto całą rodzinę Niechciców, nie wyłączając szalawily Tomasza i pustej Emilki, cechuje bezinteresowność, obojętność dla spraw materialnych. Instykt własności, tak potężny u innych, zanika u Niechciców. Natomiast wypracowuje się w nich współczesny (a może raczej nadchodzący) typ człowieka, któremu wystarczy sama praca — płynny żywioł przemiany dóbr materialnych na wartości wyższe, na nowe, ludziom potrzebne zdobycze. Te przeobrażenia zachodzą wszakże do pewnego stopnia organicznie, bez udziału woli: „Coś się przesuwało w nim ku innej stronie. Ku jakiej — to może będzie wiedziały jego dzieci”. Tyłko turkot wewnętrznej ewolucji popycha Niechcica do pracy, której ostateczny, widoczny rezultat jest nieokreślony.

W zwykłym sensie wysiłek jego niestrudzonego żywota istotnie obraca się w niwecz i Serbinów, warsztat dwudziestokiloletniej pracy, idzie na parcelację, tak jak i własny kawałek ziemi, Pamiętów; kapitałik przepadł, wojna rozbija rodzinę, niszczy Kalmieca, śmierć zabija Bogumila Niechcica. Obraz to więc kruchości mozołu człowieczego, obraz przemijania. Ale westchnienie Eklezjasty nie unosi się ponad nim. Pomiedzy Niechcicem i jego życiem istnieje wewnętrzna solidarność, której nie rozbija ciosy, nie osiągnął gry losu. Bezcelowa wędrownika ma swój cel i sens; na przelomie ostatnich dni, niby w stanie religijnej łaski, objawia się ten sens, utrwała się harmonia dążności i osiągnięć, świadomość dobrej, nieomyślnej drogi. Nie jest bowiem ważne, co się czyni; wszystko wydaje się mądre i celowe, co dopomaga wyżej formie życia w jej wytrwałym trudzie. Człowiekowi może nie przyszłoby żaden wyraźny cel, żadna nadzieja, żadna nagroda. Celem może być radość „tworzącej się pracy”, wolnej od utroszeń i żalów. Gdyż przywiązanie do tego co stałe jest hamulec idącej naprzód siły człowieka, jest natomiast do nieruchomych punktów przeszłości. W charakterze życia, pojętego jako nieustanny ruch, tkwi myśl o twórczości pracy, o jej własnych horyzontach, nie zważając doraznymi celami, których zaspokojenie utrudnia i pęta wędrownicę. „Coś wzbierało w nim i rozbrzmiewało, niby pieśń, już już mająca się rozleść melodią i słowami. Dobywał ją z mozołem, aż sformowała się w myśl, jasną niby kryształ: — Z tym samym idąc plugiem, widzisz Boga lub grudę ziemi. Na to samo drzewo patrzysz, widzisz cud stworzenia, cień od skwaru, liście, owoce i budulec”.

Rzut światła, jakim poprzez rozległą historię rodziny Niechciców Dąbrowska sięga do praw życia, dobywa zjawiska pamięci nieobecne. Znamy okresy uniesień, namiętnej zraty własnych celów, jaką szafuje młodość, wstrząs rewolucji, poryw narodu, zapal religijny. I znamy epoki wielkich prac zbiorowych, epoki bezmienności, z których pozostały dzieła a zginęły imiona. Bieg myśli Dąbrowskiej wykazuje nie tylko istnienie, ale i konieczność takich zjawisk w życiu pojedynczych ludzi, stawia przed oczy współczesności postacie nieznanych budowniczych katedr. Pisarka, z rzędu pisadrony-nauczyteli narodu, w książce *Rozdroże* powraca raz jeszcze do ukochanej kon-

cepcji, zacięsując wszakże ogólnoludzki problem do rozmiarów ostrego ultimatum, przesłanego egoizmem jednej klasy. W związku z tym nasuwa się przypuszczenie, że Bogumil Niechcic, to nie tylko typ psychologiczny, lecz również wzór do realizacji w pewnym środowisku. Jednakże słabą stroną najpiękniejszego wzoru jest to, że nie wszystko może się w nim zmieścić — i dlatego myśli ostatniego spaceru Bogumila Niechcica pozostają raczej myślami samotnika.

Nie można nie liczyć się z tym, że człowiek chce skosztować owoców swojej pracy, że nie wystarczy mu działalność, nieustannie przenosząca się w jutro. Bogumil i Barbara, Agnieszka i Marcin poszli drogą swoich predyspozycji. Postawa ich jest postawą zgody i aprobaty, koczownictwa duchowego; wszyscy oni są ludźmi z natury swojej wywołanymi z uczuła własności — *beati non possidentes*. Społeczeństwo Niechciców byłoby armią cichych pracowników, czerpiących zadowolenie z samej „tworzącej się pracy” — gromadą pierwszych chrześcijan.

Człowiek jest wędrowncem, któremu nie wolno spocząć — powiadają karty wielkiej powieści Marii Dąbrowskiej; zadaniem jego jest pojąć istotę przeczucia, a ze zrozumienia tej roli płyną prądy nowych życiowych energii. Noce i dnie Niechciców

przeszły, nie pozostawiwszy na ziemi żadnych materialnych śladów. Ale na terenie rzeczywistości — i to jest niezmiernie ludzkie — doświadczamy zawsze smutku, widząc niszczące dzieło, któremu czyjeś ręce nadały pewną postać, choćby to dzieło w innych rękach miało tylko otrzymać inny kształt. Siła oporu, siła przeciwstawiająca się znikaniu form, nieśmiertelność doczesna ma również swoją rolę w życiu. Instykt własności jest również źródłem energii, dążnością znalezienia stałego punktu, wewnętrznej przeciwwagi przemijania. Życie składa się z wędrowki i woli trwania, ze zgody i z buntu. Jest zawsze w człowieku coś, co zmusza do walki z losem, co chce trwać i opiera się nieustępliwie śmierci. W strumieniach czasu mieniają się instynkty pierzgnymy oraz instynkty trwania — obydwie konieczne. Dlatego w pięknej postaci Bogumila Niechcica widzimy typ i pewną stronę człowieczeństwa, a zaduma jego, pełna życiowego pacyfizmu, nie może zagłuszyć westchnień żalu ani gestów sprzeciwu<sup>1</sup>.

ZOFIA KUNICKA

<sup>1</sup> Artykuł niniejszy stanowi *mimouolne* nawiązanie do wzianki nazwy w „Przeglądzie prasy”, omawiającej artykuł Marii Dąbrowskiej *Kilka myśli o „Nocach i dniach”* (Ateneum, Nr 45), i do listu Dąbrowskiej, opublikowanego w 262 numerze *Pionu*.

## Z ZAGRANICY

Spór o autorstwo dramatów Szekspira zmierza ku bliskiemu rozstrzygnięciu. Jak wiadomo, niektórzy uczeni przypuszczali i przypuszczają, że autorem tych dramatów był nie William Shakespeare, aktor zarazem, urodzony w Stratfordzie on Avon — lecz filozof Bacon z Werulam, Obecnie arcybiskup katedry westminsterskiej udzielił zezwolenia na otwarcie grobu poety epoki elżbietańskiej Edmunda Spencera, a to w celu rozwiązania tego zagadnienia. Droga ta powinna, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doprowadzić do ostatecznego i jednoznacznego ustalenia osoby autora owych genialnych dramatów: czy nim był Szekspir czy Bacon.

Anielski historyk XVII-go wieku William Camden podaje mianowicie, że po śmierci Edmunda Spencera najgłośniejsi poeci i pisarze czasu tego ułożyli ody na jego cześć; wierze te, oraz pióra, którymi je napisano, włożono potem do trumny, w której spoczęły zwłoki Spencera, i wraz z nim pochowano. Znajdują się więc w tej trumnie owe wierze i dziś zapewne. Grupa pisarzy i niezonych podjęła przeto starania o pozwolenie otwarcia trumny, zawierającej śmiertelne szczątki Spencera, i o pozwolenie wejścia z niej wierzy, celem ich zbadania. Poszczególne rękopisy ukazały oczywiście podpisy ich autorów, wśród nich chyba i Szekspira, który — jak wierze przekazuje — uczestniczył w pogrzebie Spencera i napisał ode na jego cześć. Odnalazłszy w trumnie Spencera rękopis tej ody, będzie go można porównać z rękopisami Bacona, które się po dziś dzień zachowały. Wynik tego porównania powinien ostatecznie rozstrzygnąć sprawę autorstwa dramatów Szekspira — czy Szekspir jest ich autorem, czy Bacon.

Werner Krauss obchodzi obecnie dwudziestopięcioletni swej pracy na scenie berlińskiej.

*Mesjasz* Händla, w postaci oryginalnej, ustalonej przez Willy Starke na podstawie rękopisu autorskiego Händla — wykonany będzie bez skrótów w kościele św. Jana w Lipsku w Dzień Zaduszny. W ciągu nadchodzącej zimy zamierza również prof. Ramin wykonać tę autentyczną wersję *Mesjasza* z chórem filharmonicznym w Berlinie.

Dom, w którym urodził się Józef Haydn w Rohrau, przekształcony będzie obecnie na muzeum Haydna. Jest to zwyczajna zagroda chłopska, w której ojciec kompozytora żył jako kowal wioskowy.

Z okazji trzasetnej rocznicy śmierci Rubensa powstaje ma w Antwerpii archiwum rubensowskie. Zgromadzi ono dokumenty dotyczące życia i twórczości Rubensa.

Karol Morgan napisał dramat pt. *The flashing stream* (*Błysk strumienia*). Ukazał się on obecnie w postaci książkowej wraz z esysem pt. *On singleness of mind* oraz przedmową.

Październikowy numer *Nouvelle Revue Française* przynosi interesującą garść wspomnień o Gabrieli d'Annunzio pióra André Sarrèsa. Postawa, jaką zajmuje Sarrès w stosunku do zmarłego pisarza włoskiego, uderza ostrym krytycyzmem; bez ogródek wytyka on d'Annunziowi ignorancję w zakresie muzyki współczesnej, co nie przeszkodziło mu jednak czynić jej często tematem swych dygresji literackich; podkreśla jego nieprawdopodobną próżność i poezistwo, brak wszelkiej samodzielności myślowej, połączony z niepospolitym talentem asymlowania cudzego dorobku intelektualnego, a analizując wreszcie jego twórczość, stwierdza powierzchowność jego dzieł, których główny walor literacki stanowi strona językowa o niezmiernie bogatej ornamentacji.

Mimo tych zastrzeżeń Sarrès uznaje wielkość d'Annunzia jako pisarza i człowieka. Podkreśla odwagę, z jaką zerwał z tradycyjnymi przesądami nie pozwalającymi literaturze włoskiej malować życia zmysłowego; „Ostatecznie i śmiało starał trzy wieki ubóstwa literackiego, aby związać się bezpośrednio z samym Renesansem”. Prócz tego „przywrocił językowi ojczystemu godność estetyczną, zatracając troskę o piękno”. A wreszcie „kulturował wielkość nawet wtedy, gdy ją tylko usiłował upozorować”. Działalność wojenną d'Annunzia uważa Sarrès za najpiękniejszą kartę jego zasług. „Na tych wysokościach jest on prawdziwy i szczerzy; tutaj jego hałaśliwość nie jest podjeżdżana: jeśli nawet dmie w wielkie trąby, pozwala słyszeć muzykę, w której najszlachetniejsi ludzie rozoznają bliskie im nuty”.

W tym samym numerze *Revue* znajduje się obszerny artykuł Henri Pourrat pt. „La pensée magique de Jean Giono”. Analizując ostatnie utwory tego oryginalnego pisarza, Pourrat usiłuje stworzyć syntezę jego światopoglądu, któremu brak może niekiedy niektórych fundamentów realnych, lecz który niemniej posiada przekonującą wymowę prawd uczuciowych. Giono, zdaniem Pourrata, jest „magiem i prorokiem”. Po cóż zatem „żąda od wizjonera, aby był myślicielem?”.

Bert Brecht napisał cykl dramatyczny, złożony z 27-in króciutkich dramatów jednokaktowych. Rozgrywa się w Niemczech współczesnych. Zbudowane są według przepisów dramaturgii tradycyjnej.

Artykuł o Hieronimie Boschu pt. *Nadrealista XV-go wieku* ogłosił W. Gaunt w październikowym zeszycie *The Studio*. Artykuł zdobył reprodukcje, piękne, jak zawsze w tym piśmie, które kształciło smak malarski wielu pokoleń.

Po sukcesie filmowej przeróbki *Pygmaliona* Bernard Shaw, który poprzednio niechętnie odnosił się do filmu, udzielił obecnie zezwolenia na opracowanie filmowe dwóch dalszych jego dzieł: *Cezara* i *Kleopatry* oraz *Ucznia diabelskiego*.



H. KRUMPEL-ZAKRZEWSKA

MANIA PRZEŚLADOWCZA

Szara godzina. Siedzę bezczynna na fotelu i z nudów przyglądam się tej mojej pielęgniarce. Coż za idiotyczna gęba. Gdy drzemie, wygląda jeszcze głępsza z tymi na wdpó rozdżawionymi ustami. Żeby jej widać...

Ala czy te żęby nie są przypadkiem sztuczne. Z pewnością sztuczne, a szczyrzy je do byle kogo przy każdej sposobności. Nawet starego doktora Brausera kokietuje, a z mymi wnucami ma jakieś dziwne maniery, całkiem niewłaściwe. Moja synowa twierdzi, że to jest bardzo zacna panienska, zarekomendowana przez poważne osoby, lecz trudno mi w to uwierzyć. Wygląda, pomimo mądurka, na pierwszego lepszego szurgota z ulicy.

Jakim prawem ona drzemie, wtedy gdy ja czuwam? Mówiła, że przez całą noc do gładła ciężko chorego człowieka. Pewno jakiś tyfoidalny albo żądymiony i tylko zarazę mi przyniesie. Tego tylko brakło... Zresztą co mnie obchodzi, co ona po nocach wyrabia. Nie po to tutaj jest żeby się wychrapiała. Tupet niezrównany...

Już dawno zauważyłam, że ludzie o niskim poziomie umysłowym skłomi są do drzamek. Daje się to zaobserwować w tramwajach, w wagonach, a nawet w karetach... Kiwu, kiwu i już ich nie ma. Ona również kiwa się jak kretynka. Pewno alfabetka bez żadnego wykształcenia. Wprawdzie pokazywała mi swój patent pielęgniarSKI, ale to żaden dowód. Może być fałszywany. Za głupia na jakikolwiek kursy egzaminu...

A może... może — kto ją tam wie — może udaje głupia. Ta jej ciągła krztanina po pokoju jest podejrzana. Dlaczego ona tak często odsuwa i zaszuwa słufladę od mego stolika? Co ona ma za potrzebę zaglądać do mojej szuflady? Obrzydliwe wścibstwo. To jest moja prywatna szuflada. Mogłabym tam trzymać kosztowności lub poufne listy...

Albo z tym zegarkiem. Z rąk mi go wdziera. Przez całe życie sama go nakręcałam i regulowałam, więc skąd ta obawa żeby czegoś nie zepsuła? Dzieckiem chyba nie jestem, a to, że mi się ręce trochę trzęsą, jeszcze jej nie upoważnia do tyranii... Tak, tak. To wszystko jest dziwne nie zrozumiałe. Coś w tym jest. Nie lubię nikogo na wiatr posadzać — Bóg raczy wiedzieć — lecz wcale bym się nie zdziwiła gdyby wyszło na jaw, że jej portret jest w rękach policji państwowej, wklejony w album przestępców...

Właściwie pojąć nie mogę, po co ją tutaj trzymają? Jakies widzi mi się mojej synowej. Julka niby to dla mnie robi, dla mego zdrowia, ale ja wcale tego nie potrzebuję. Chwała Bogu czuję się całkiem zdrowa i rześka. Mogłabym Julkę przeskoczyć, gdyby nie ta nieszczesna drętwa noga...

Ala i z noga jest lepiej. Znacznie lepiej. Wczoraj ruszać palcami nie mogłam. Drewno. Kamień. A dzisiaj rano przebierałam nimi jak Paderewski na fortepianie...

Tak, tak. Władza w nodze zwolna powraca.

Spróbuję teraz. Pokiwam sobie dużym palcem. Taką gimnastyka dobrze robi. Pobudza cyrkulację krwi.

Jakos nieporo mi idzie. Przeklęte kolki. A może pantofle przeszkadzają? Z pewnością pantofle. Chciałam całkiem inne, eleganckie, na wysokich obcasach, ale co Julka moje gusta obchodzi? Kupiła mi to rozklapane filce za hyle dwa złote i utrzymuje, że są wygodniejsze. Patrzyła na własne nogi nie może. Takie śliczne nogi — sławna byłam z maleńkich nóżek — a teraz, w tych ordynarnych pantofliskach, wyglądają jak słoniewe stopy.

Mojej synowej się zdaje, że osoba niemłoda i z chorą nogą powinna sobie lekceważyć estetykę i wyżyć się wszelkiej kokieterii...

Coż poradzić? Trudno. Bez pantofla również źle idzie. Ani w tę, ani w tam. Czyżby to był paraliż? Okropność... ale cicho, sza. Powiem Julce, że jest dobrze, całkiem dobrze...

Powiem jej, że w nieobecności pielęgniarKI biegałam jak fryga po pokoju...

Już widzę jak jej się ten paskudny nochal wydłuży. Czy to ja głupia jestem i nie widzę, że ona mi w oczy patrzy, kiedy je zamknę na wicki. Obłudna hipokrytka. Doktorów mi eprowdza, a rada by widzieć mnie w trumnie...

Wiem, że przy każdej sposobności obgaduje mnie poza plecami. „Biedna niedoleżna staruszka!” — mówi o mnie do znajomych. A czy ona jest młoda? Też nie jest młoda, lecz udaje fertyczną po to tylko, żeby mnie upokorzyć, dokuczyć. Żeby dowiedzieć ludziom, iż istotnie jestem niedoleżna.

Ala poczekaj, kochanecko, ja ci jeszcze pokażę co potrafi taka „niedoleżna staruszka”. Już tak cię urządzą, że nie po mnie nie powahasz...

Wprawdzie niewiele już tego zostało, Ot, trochę biżuterii i parę akcji Banku Polskiego.

Julce aż oczy wylaża do mojej broszki z rubinem, lecz przynajmniej, że wolałabym wrzucić do kanalizacji i pociągnąć za łańcuszek, niż wiedzieć, że ta broszka kiedyś — z czasem — wpięta będzie w jej stajczyk...

Z papierami już się zalatwiałam. Weśmiałam je głęboko w sprężony szelongu. Tak jest bezpiecznie, no i po mojej śmierci sam diabeł tych akcji nie znajdzie...

Ala po co ja myślę o śmierci? Od reumatyzmów nikt nigdy jeszcze nie umarł, a organizm mam zdrowy, bardzo zdrowy...

Łatwo mogę pożyć ze dwadzieścia dobrych lat. Na umieranie nie ma żadnych specjalnych przepisów. Jedni przed trzydziestką gasną, inni ciągną do stu.

Tak, tak, synowe nieraz schodzą z tego świata przed matkami mężów, więc jeszcze nie wiadomo która z nas pierwsza z brzęgu...

A te jej miny dobrodziejki... Zdałoby się, że mi laskę wyświadcza dając mi kąć i tę okruszynę narnej strawy. Przecież to nie jest dobrodziejstwo, a jej psi obowiązki utrzymywać chorą świekrę, babkę jej dzieci.

Czyżby zapomniiała, że mój syn utrzymywał ją przez cały szereg lat? Owdowiała, więc koleją na nią popracować.

Dobrze jej tak. Na stare lata musi się zrywać o siódmej rano i — mroź nie mroź, chlapa nie chlapa — pędzić do biur.

Oburzające. Nawet rodzony syn nie pomyślał o zabezpieczeniu matki...

Ostrzegalam go kilkakrotnie, ale to był groch o ścianę. Kto by tam matki słuchał, takich synów już nie ma, więc pchał się jak wariat w niepewne spekulacje i zrujnował całą rodzinę.

Biedaczysko. Osiwiał przedwcześnie, zamartwiał się, no i umarł na udar serca.

Ala... ale... dlaczego ta śmierć nastąpiła tak nagle...

Dlaczego? Dlaczego? Okropność, te wątpliwości...

Będzie ostrożna z jedzeniem. Każę pielęgniarce kosztować podawane mi potrawy. Od tego ona jest wynajęta, żeby czuwać nad moim bezpieczeństwem.

Ot, i wspominałam o tych potrawach. Pożal się Panie Boże. Równie obrzydliwe skapstwa w życiu nie widziałam. Dla chorej babuni buraczki, marchewka, rzepka, kalarepka, a Julka i jej dzieci z pewnością zjadają cichaczem hefyzki, raki, szparagi i Pan Bóg wie jakie specjalny.

Upomnieć się o lepsze pożywienie, to mi kochana Julcia odpowiada bez zająknięcia — dieta. — A dlaczegoż to sama nie obserwuje diety? Młoda już nie jest, ma dorosłe dzieci, więc pozwala. Lada dzień obejrze się na śmierć...

Egoistka. Dużo dba o to gdzie się podzieje matka jej męża, babka jej dzieci. Niech sobie idzie biedaczka pod kościół, na żebro...

Ach! gdyby mój syn żył, to byłoby tutaj całkiem inaczej. Przede wszystkim nie pozwoliłby mi wchodzić. Julka mówi, że to moja noga jest temu winna, ale ja dobrze wiem o co jej chodzi. Chce mnie odsunąć od światła. Zycwem pogrzebać.

Katgora. Już tylko czekam chwili, w której troskliwa synowa każe mnie do fotela łańcuszami przykuć.

Tortury fizyczne też nie są mi oszczędzane. To budzenie mnie po nocach dla zachęty lekarstwa, te zastrzyki, te masaże...

Cierp sobie, „niedoleżna staruszko”. Od tego jesteś w tym domu.

Sadyzm przechodzący ludzką imaginację...

Dopieła swego. Odcieła mnie jak nożem od wszystkich i gdyby nie ta poczciwa Emilka, która mnie odwiedza od czasu do czasu, zapomniałabym jak wyglądają twarze ludzi.

Szczęśliwa ta Emilka! Zazdrościć jej. Ona nie ma synowej, która by zatrulała jej życie. Ona ma swego Ciuncia — przeszłego rasowego ratlerka — i on jej wstarcza w zupełności.

Biegają sobie razem po mieście. Wesoło. Przyjemnie. Piesek obwąchuje latarnie, podnosi łapkę...

Jednak pojąć nie mogę dlaczego ta Emilka jest jeszcze taka zdrowa i ruchliwa? Mówi, że jest młodsza ode mnie, ale to jest wiertune kłamstwo. Byłam całkiem małą dziewczynką, wtedy gdy ona była już dorosłą panną.

A brzydka!... No niech ją tam. Brzydota była z czasem wielkim życiowym plusem. Człowiek nie zmienia się na stare lata. Emilka była i pozostała strachem na wróble...

Tylko piesek mógł ją pokochać. Toteż osiadła na koszu i Ciuncio zastępuje jej rodzinę.

Ciekawam po co ona tego wstrętnego psa tutaj ze sobą przyprowadza? Potrzebne. Jeszcze gotów się wściec któregośkolwiek dnia...

Z takim kundlem nie jest się pewnym dnia ni godziny. Wypraszam sobie te wizyty. Niechaj sama przychodzi, a najlepiej wcale.

Czy to nie widzę, że ta jej litosć dla mnie jest obłudna? Ręczę, że nie ma dla niej większej przyjemności jak patrzeć na dogasającą przyjaźniółkę...

Ala coż to za trzaskania drzwiami w przedpokoju? Domyślam się, że to Staszek i Jedrek powrócili i gwiżdżą sobie na to, że tam gdzie w głębi mieszkania jest chora babunia.

Ach! gdyby mój syn żył, to i wnuków byłby wykierował na ludzi, a nie na rarogów. Dopóki to było małe, to jeszcze pół biedy. Ot, zwykłe krzykliwe brudasy, z dwójkami w cenzurach, ale jak tylko rozporota Julcia zabrala się do pedagogii, poznać tych osłów trudno. Wyrosło to nie wiadomo kiedy — jak grzyby po deszczu — i nosy zadzierają. Roszczą sobie jakieś śmieszne prawa do życia i do użycia. Niechaj się ziemia zapada — oni chcą się ławić.

Trzech groszy hym nie dała, że teraz również eprowdzili sobie bandę koleżków i zaczęła łupić w karty w salonie. Ala to jest tajemnica przed babunią. Ani mrumru. Wiedza jak bardzo nienawidzę tej niesfornej dzisiejszej młodzieży i tego przekłętą brydzą, więc — niby to — oszczędzają sentymenty babuni. Ona nie przyjdzie, nie skontroluje, nie sprawdzi. Przecież jest „niedoleżna staruszka”, przykutą łańcuszami do fotela. Powtóry moralne. Dla nich szlemik jest wszystkim na świecie, a to, że babunia kona w przyległym pokoju, jest bagatelką bez znaczenia...

Powtóry i głupcy. Babunia dobrze wyczuwa co się dzieje poza jej plecami, więc sekrety są tutaj zbytbyczne.

Ala... ale... dziwię się Julce, że pozwala tym durniom robić ze swego mieszkania jakskinie gry. Pożaluje. Lada dzień policja tutaj zajdzie...

Nie wątpię, że Staszek zgra się znowu jak ezewe i już tylko czekam jego wizyty. Przyjdzie błagac babunię o ratunek. Składac ręce, przyklekać, ale głupich już nie ma. Tylko raz w życiu można się rozczulić i własne koleżki zastawić w lombardzie dla dogodzenia rozpustnym gustom wnuka.

A jednak... jednak.. lubiłam dawniej tego Staszka. Był moim faworytem. Miła, rozkoszna dziecina. Wysiadywał godzinami na moich kolanach, a oczki miał takie prześlizne, takie poczciwe...

Najpodobniejszy do ojca... Jedyny podobny, bo tamtych czworo... do gości podobne. No, nie chcą Julki posadzać... Zresztą jest i była za brzydka na podobne posadzenia.

Mniejsza... Bóg raczy wiedzieć, jak tam było...

Szkoda, że ten Staszek tak bardzo się zmienił. Poznać go trudno. Nawet podobno...

bięństwo do ojca zatracił. Drabisko zarozumiałe. Egoista. Apasz zdolny do wszystkiego... Babcie szyję ukrocic i obredzać zwłoki z biżuterii byłoby dla niego dzieciną igrazką...

Będę się na klucz zanymkać. W tym domu jest się życia niepewnym...

Dlaczego mi światła nie dają? Żalują mi tego ogarka świecy, tej kropelki nafty. Babunia boi się w ciemnościach, ale niechaj do nich przystyczają. Pod ziemią będzie babuni jeszcze ciemniej...

I ci ludzie ludzi się mianują. Hiency wścąż trup...

Tak czegoś nieprzyjemnie, straszno... Chyba obudzę te złodziejce pielęgniarke. Nie widzę racji oszczędzać jej drzamek, wtedy gdy ja cierpie.

Jeszcze będą dotąd aż raczy się ruszyć. Ruszyła się w końcu. — Co pani jest? — miała tupet zapytać, a potem pod pretekstem przyniesienia lampy wypadła z pokoju.

Nie wątpię, że długo przyjdzie mi czekać na to światło. Z pewnością zbiegła do bramy...

Nie daj Boże. Jeszcze mi bandytów naprowadzi...

Coż się to stało? Cud. Wnuczki do mnie zajrzały. — Babunia tak strasznie jęczała — enówiły. Coż za troskliwość? Zwykle wpadają do mnie jak po ogień. Czasu nie mają...

Niekczerna wymówka. Po prostu ta babunia — która znana była z dowcipu w szerokiech kołach towarzyskich — ta babunia je nudzi. Babunia nie potrafi mówić o święstwach...

Śmieszne osoby. Doprawdy śmieszne. Każdy wie, że byłam wyjątkowo piękną kobietą — nawet mało się zmieniam, — lecz moim wnuczkom wydaje się to bajką z tyśiącia i jednej nocy.

Pamiętam jak sędzia Gra... Grzy... Wro... Jakżeż mu tam było — czyżym pamięć traciła — mówił: — Gdy pani ma bal wchodzi, ludzie na krzesła wylażą żeby lepiej obejrzeć pani dekolte. A Władysław... A Antoni... mało się to mój mąż o niego nawścikał...

Ala dla moich wnuczek to jest bez znaczenia. Zdałoby się, że one wzięły monopol na urode.

Powinnować. Opalone jak dziewki od gnoju, muskuly tragarzy z Zakładu Przewozowego, wykarminowane, fryzury Brzemanek, ubrane krzyżaco. Żadnej dystynkcji. Stróżowny...

Ciekawam komu się to może podobac? We mnie kochali się wszystkie. Miałam zatrudnienie konkurentów. Wysłałam za mąż — po raz pierwszy — w szesnastym roku życia. Dwóch mężów pochowałam, a teraz jeszcze, gdybym nie była więziona, z latwością znalazłabym trzeciego.

A one co? Jak tak dobrze porachuje, to Lola ma już przeszło dwadzieścia pięć lat, a kulawy pies nie spytał się o nią. Tamte dwie również dorosły — nie wiadomo kiedy — i też pozostają starymi pannami.

Wcale się nie dziwię. Niezależne gasną. Emancypantki, pracujące na własne utrzymanie. One czasu nie mają na kokieterie, na słodkie oczy... Jednym słowem, na wszystko co stanowi urok kobiecy.

A może... może... wcale im za mąż nie pilno? Stare przesady. Mają kochanków na mieście i wkrótce uceziwa kobieta, chora babunia, zmuszona będzie wyprowadzić się stąd. Uciekać na kulach z tego domu rozpusty...

Ala co tu tak czuć w tym pokoju? Dziwny jakiś odor. Pomimo kataru zalałuje...

Idzie jakby od pieca... Na Boga, czyżby to był czad węglowy?

Rozumiem. Ta ladaczniczka pielęgniarka jest przekupiona przez Julkę... Za weżesnie zastrubowała drzewiczki od pieca i uciekla z pokoju. „Niedoleżna staruszka”, przykutą łańcuszami do fotela, niech ginie, przepada!

— Ratunku, ludzie! Ratunku! Mordują mnie tutaj...

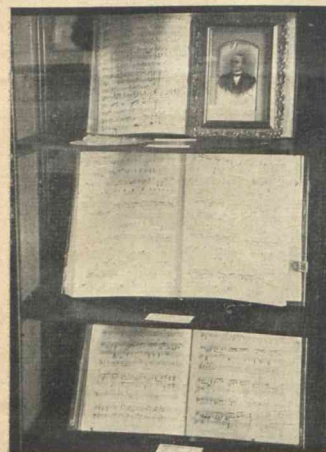
H. KRUMPEL-ZAKRZEWSKA

INSTITUT KULTURY ITALSKIEJ ZGODA 7 - TEL. 6.59-60 KURSY JEZYKA WŁOSKIEGO, LITERATURY, HISTORII SZTUKI, HISTORII CYWILIZACJI WŁOSKIEJ POCZĄTEK W TYCH DNIACH - ZAPISY TRWAJA



# PAMIĄTKI MUZYCZNE POZNANIA

W łączności z dopiero co zakończonym Tygodniem Muzyki Polskiej w Poznaniu trwa jeszcze w tamtejszym Muzeum Miejskim wystawa regionalnych pamiątek muzycznych i muzykaliów, obejmująca kilkadziesiąt eksponatów pochodzących z Poznania i najbliższej okolicy. Pokaz ten jest rzeczywiście imponujący i warto go zaszyfrować ze względu na to, że miłośnicy muzyki często nie wiedzą, gdzie można znaleźć ciekawy zabytek, dotąd nie zinwentaryzowa-



Autograf „Halki” Moniuszki i albumy pamiątkowe dla Kraszewskiego

ny w katalogach podręcznych katedr muzykologicznych. Wystawa została zainicjowana przez wiceprezydenta miasta Zygmunta Załęskiego, a zorganizowana przez kustosa muzealnego Bożenę Stelmachowską ze współudziałem Instytutu Muzykologicznego U. P. prof. Lucjana Kamińskiego. I trzeba było nie lada wysiłku, aby w przeciągu niespełna miesiąca zebrać i posegregować stosy nut, ksiąg, broszur i fotografii, zdemontować całe prawe skrzydło Muzeum Miejskiego i zamienić je w przybytek, uwiecznionych w kształcie znaków pisemnych, dźwięków i tonów. Wygląd zewnętrzny Wystawy jest sympatyczny już choćby ze względu na jasność doskonale oświetlonych sal, wytworność zręcznie rozmieszczonych gablot, szaf i pulpity, o budowie lekkiej ze szkła i metalu, nadto — tło zieleni i kwiatów, harmonizujących z rzeźbami i obrazami.

Pierwsza sala, najobszerniejsza, zawiera najstarsze zabytki, pochodzące przeważnie z klasztoru OO. Benedyktynów w Lubiniu, a więc kancjonały, mszały, antyfonarze, barwne iluminowane i zawierające piękne drzeworyty. M. in. mieści się tutaj brewiarz z neumami akwitainskimi z XII wieku, oraz inne wydawnictwa polskie i zagraniczne z w. XVI — XVII, jak pierwszy mszał poznański i pierwszy wrocławski z oficyny Hallera, obecnie własność Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Z w. XVI wystawiono również kompozycje wielogłosowe Wacława z Szamotuł, Orlanda di Lasso, zde-

ponowane przez Archiwum Archidiecezjalne. Z eksponatami tymi sąsiaduje muzyka kościelna w. XVIII i to przede wszystkim obfitym spuścizną kompozytora wielkopolskiego Wojciecha Dankowskiego, oraz innych, np. Mogiły, Morowskiego, Kozłowskiego, Pracheńskiego itp., przeważnie w rękopisach dotąd nigdzie nie publikowanych.

Druga sala wystawowa obejmuje wiek XIX i XX. W osobnej witrynie znajdujemy jeden z najciekawszych eksponatów, pochodzący z Bibl. Raczyńskich, mianowicie pierwszy rękopis *Halki* Moniuszki w układzie dwaaktowym, ofiarowany przez kompozytora pierwszemu Jontkowi, Boldoniemu. Tuż obok leżą albumy pamiątkowe, ofiarowane Kraszewskiemu z racji jubileuszu, zawierające m. in. autograf Paderewskiego, nad cała salą jednakże króluje autor *Pieśni o ziemi naszej*, Dembiński, jedna z tych postaci wybitnych Wielkopolan, którym region ten zawdzięcza swoją wytrwałą kulturę muzyczną. Obok niego wyodrębnia się ks. Surzyński, najważniejszy przedstawiciel znanej rodziny muzyków poznańskich, kompozytor i naukowiec, dalej — Antoni Woykowski, muzyk i publicysta, ostatni romantyk z tej nielezionej zresztą rasy utopistów poznańskich, oraz wielu innych, których rękopisy i wydawnictwa przechowuje Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk.

Wiek XX reprezentują rękopisy i drukowane utwory Mieczysława Szczerbińskiego, Anny Suszczyńskiej, jednej z najwybitniejszych kompozytorek i pianistek polskich, koncertujące przeważnie w Ameryce, ks. prof. Gieburowskiego, prof. Lucjana Kamińskiego, Feliksa Nowowiejskiego, Jahnkego ojca i syna, Henryka Opieńskiego, Stefana Poradowskiego, St. Wichowicza, Apolinarego Szelutę i wielu innych, których tu już wymienić trudno. Czego nie można było pomieścić w gablotach, to znalazło się jeszcze w ruchomych wachlarzach — czasem jakas jednostkowa kompozycja dziś zapomnianego już muzyka, czasem jakas piosenka czy wale odzwierciedlający niedawno minioną epokę życia kulturalnego Poznania.

Bogaty jest na wystawie dział portretów, szczególnie grafik z galerii Mielżyńskich, np. portret Kątskiego z facemile Paganiego, wyrażającym entuzjastyczną krytykę. Dostarczone też ze zbiorów prywatnych duża kolekcja fotografii, niezmiernie ciekawych. W osobnym lokalu, już poza właściwą wystawą, znalazł się zbiór instrumentów muzycznych — własność kupca poznańskiego p. Szulca, który jako kolekcjoner-amator z podziwu godną pasją zbierał najrozmaitsze okazy w czasie swych podróży, m. in. oryginalne instrumenty egzotyczne, a także ludowe polskie i południowo-słowiańskie.

Muzeum Miejskie wydało katalog wystawy, aby pozostał po niej ślad historyczny jako po pierwszej imprezie tego typu w Poznaniu.

WANDA BRZESKA



Portret Nowowiejskiego w stroju szambelańskim (mal. Roguski), muzykalia, wydawnictwa nutowe i fotografie z w. XIX i XX

# OTWARCIE SEZONU W I. P. S.

Uielnie propagowana przez naszych współczesnych malarzy i teoretyków zasada integralności malarstwa sztalugowego, z jego pozorną ascją i programową niby obojętnością dla tematu, nie znalazła jak wiadomo odpowiedniego rezonansu w polskim społeczeństwie. Ogół nasz, zapatrzonej w wizję Grottagera i Matejki, jeszcze dzisiaj czuje się doskonale, kiedy obraz politykuje, głosi jakieś popularne hasła lub też przedstawia jakies nastroje, dostępne uczuciowo dla każdego śmiertelnika na ziemskim globie. Idąc tą drogą, nie daleko się jednak zajdzie. Malarstwo ma przecież własne cele, które osiągnąć może pracując jedynie na własny rachunek.

Na rachunek czystego malarstwa pracuje *Tadeusz Potworowski*. Nie wszystkie jego malowidła są wprawdzie jednakowo doskonałe, ale lepsze z nich dają sprawodawcy artystycznemu dużo do myślenia. Dla Potworowskiego metody impresjonizmu nie są bynajmniej jakimś gotowym schematem, jakąś ogólnie w danej chwili przyjętą konwencją malarską. W sztuce tego artysty impresjonistyczna dialektyka malarska nie mieści się bez reszty i dzięki nauce płynącej z dzieła Matisse'a i Bonarda przeistacza się w płaszczynowe traktowanie powierzchni płótna. Tutaj gra i opozycja kolorystyczna nabierają znacznie większej wagi, jakkolwiek malarstwo to odbywa się najczęściej bez walorów, zaznaczając tylko, jak gdyby „dla zwyczajności”, granice jasnego i ciemnego na obrazie. Najczęściej dwa lub trzy bliźniacze, lekko stłumione tony rozwijają tu mocniejszy akcent barwny, jako akompaniament za sadniczego rytmu malowidła. W „Pejza-



MAREK ŻULAWSKI  
Przed kominkiem

to dyskretnie, zręcznie retuszując metody cudzego warsztatu. Przeważnie jednak idzie za głosem własnego instynktu i z tej przyczyny jest w naszej sztuce zjawiskiem nader pożądanym. Więcej ku czystemu impresjonizmowi skłania się Żulawski, który w swych londyńskich krajobrazach daje niemal szlachetnych emocji kolorystycznych. Jest on zbyt „elegancki” i przestetyzowany, a odrobina bodaj brutalnej szczeroci i bezpośredniości bardzo by mu się przydała.

W pracach *Wiesłysława d'Erceville* pokutują niewątpliwie stare błędy „szkoly paryskiej”, z jej nadużywaniem walorów i preintelektualizowaniem efektów faktury. Dlatego też trudno mu się złożyć na świeżość i bezpośredniość pierwszego spojrzenia, chociaż forma malarska tego artysty świadczy niewątpliwie o aspiracjach malarskich w dobrym gatunku („Portret”). Poza tym sztuka d'Erceville'a — to niewątpliwie pokłon w stronę malarstwa.

Dbalosc o formę malarską widzimy również w pracach *Tymona Niesiotowskiego*, który jako dawny formista ma zdolność kształtowania niejako we krwi. Ale w ostatnich kilku latach Tymon „przerzucił się” na klasyczny postimpresjonizm i mam wrażenie, iż czuje się w tej sferze czystego koloru niezbyt szczególnie. W pracach olejnych zwłaszcza widać u niego przemęczenie i brak malarskiej inicjatywy. Lepsze są natomiast jego akwarele, gdzie malarz — może podświadomie — powraca do swej dawnej i wypróbowanej metody malowania.

Grafika użytkowa *Tadeusza Gronowskiego* (afisze, ulotki i okładki) stanowi dla mnie zawsze atrakcję. Mogę bowiem w jego sztuce śledzić z niemalą jak na malarza satysfakcją, ile ów zdolny grafik i dekorator bierze z nowoczesnego malarstwa sztalugowego, jak sobie z tymi nowymi formami daje radę i z jakiego rodzaju efektów korzysta. A robi to, przynajmniej trzeba, inteligentnie i bez przymusu, dając w swej sztuce stosowanej oczywiście „świadczenie prawdziwe” — prawdziwe plastyczne, reprezentujące nasz wiek i współczesne poczucie formy.

KONRAD WINKLER



TADEUSZ POTWOROWSKI  
Chłopiec w zbroi

żu zielonym” Potworowskiego rytmika ta, oparta na dobrze rozumianej *proporcji koloru* i na wzajemnym stosunku tonów, wywołuje nader szlachetną muzykalność zespołu barwnego.

Na innej drodze poszukują pełni kolorystycznej *Józef Krzyżński* i *Marek Żulawski*. Pierwszy z nich chętnie przeciwstawia kolory czyste — stłumionym, a jego szarości i brzozy stanowią wdzięczne tło dla zwicznych różów i zamglonych a lekkich błękitów. Krzyżński, to malarz indywidualista. Jeśli skądś bierze, to robi

Już jest w sprzedaży

## INFORMATOR PRASOWY 1938/39

wydawnictwo miesięcznika „Prasa”, organu Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism

ZAWIERA DZIAŁA NASTĘPUJĄCE:

Najważniejsze daty z historii prasy w Polsce — Statystyka prasowa — Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism (władze, lista członków, działalność) — Informacje szczegółowe o prasie zrzeszonej w Związku Wydawców Dzienników i Czasopism — Organizacje dziennikarskie: Związek Dziennikarzy R. P., Syndykaty Dziennikarskie, inne organizacje dziennikarskie — Instytucje wspólne wydawców i dziennikarzy: Komisje: orzekająca, porozumiewawcza, kwalifikacyjna, odwoławcza, rozjemcza, dla spraw ubezpieczeniowych — Układ zbiorowy pracy w zawodzie dziennikarskim — Prasowe agencje informacyjne — Instytucje współpracujące z prasą: T-wo „Ruch”, Polski Związek Reklamowy, najważniejsze agencje reklamowe — Towarzystwo Wiedzy Prasowej — Wyszko Szkoła Dziennikarska — Międzynarodowe organizacje prasowe — Prasa polska za granicą — Bibliografia prasowa — Dział ogłoszeniowy.

CENA 21 3.—

Do nabycia w biurze Związku Wydawców (Warszawa, Zgoda 8 m. 4), w głównych kioskach „Ruchu” oraz w większych księgarniach.



Nasz Wyrasz staje się jednym z najżywczych czasopism artystycznych w Polsce. Oto numer październikowy; czytamy go, i niemal każdy artykuł, każda pozycja wywołuje mocną reakcję, pobudza do aplauzu lub protestu. Na czołowym miejscu M. Chmielowiec formułuje punkty programu *Naszego Wyrazu*. Robi to w tym sensie: chwalimy awangardę, szanujemy autentyzm, głosimy powrót na opuszczone stanowiska problematyki etycznej i metafizycznej, wzywamy do nowego patosu (ex. J. Andrzejewski *Lad serca*), do eksperymentów w formie powieściowej (wid Witkiewicza, Choromański, Schulz, Gombrowicz), pochwalamy krakidlowy „formalizm w badaniach literackich, bo to jedyny dziś kierunek w tej dziedzinie, który ujawnia mocną żywotność. To ostatnie „zdradza tajemnicę” autora; jego metny manifest pochwalia to wszystko, co w dzisiejszej literaturze wykazuje rozmach — choćby tylko chwilowy i przypadkowy rozmach biologiczny. Nie bada już Chmielowiec *metrycznej wartości* żywiołów, które są w wojnie; dość że są, niech więc działają, niech tworzą. Nie myśli o pokierowaniu nimi, o narzuceniu im formy — niech toczą się, sprzeczne może, ale grunt że żywe; reszta należy do historyków literatury. Typowo niedojrzały, antyhumanistyczny punkt widzenia; *futurystyczny*, w historycznym znaczeniu tego hasła, aktualnego przed laty dwudziestu, w chaosie rodzącego się po wojnie nowego świata.

Świętyni „list z obłożonego miasta” Zbigniewa Bielskiego (razą w nim tylko nieznaczące dopowiedzenia oparte na grze słów) broni ducha czystej „awangardy” ostro, jasno i przekonawo. Tykwo dwie uwagi na marginesie: 1) wewnętrzne ewolucje

t. zw. poezji awangardowej oznaczają niewątpliwie *reakcję*, w najszerszym znaczeniu tego słowa, ale reakcja ta ma głębsze uzasadnienie kulturalne i społeczne (np. kryzys humanizmu antropocentrycznego), którego autor nie dostrzega; 2) rezultatem tych ewolucji nie jest bynajmniej rezygnacja z „intelektualnej organizacji marzenia” i „odryśowywania wizji ostrym konturem znaczeń”: tu jest właśnie, doskonale uchwycona przez Bielskiego, różnica między *Wyprawami*, *Tropicielami* i *Obłokami wiosennymi* — z jednej, a twórczością Łobowskiego np. — z drugiej strony.



W *Wiadomościach Literackich* Boy-Zeński twardo przycisnął do muru jednego z „przysięgłych znawców” Rostworowskiego — Adama Grzymałę-Stiedleckiego, w związku z konfrontacją *Bratnich dusz* z przedwojennym dramatem *Pod górę*. Traf zrzadził, że przy okazji nie dostało się „po lapach” p. Piaseckiemu, który w *Prosto* z *Mostu* wydrukował o *Bratnich duszach* podobne uwagi, zaczerpnięte z wywodów Grzymały i z... własnej ignorancji. Strach pomyśleć, co za „cudenka”, co za cenne wkłady do skarbcza wiedzy o Rostworowskim przyniesie przygotowywany przez p. Piaseckiego numer specjalny, poświęcony autorowi *Niespodzianki!* Już dziś pod adresem tych, którym dzieło świętego dramaturga nie jest obojętne, rzucamy przestrogi: *caveant admiratores!*...

## JULIAN PRZYBÓŚ W WARSZAWIE

Na zaproszenie Koła Polonistów Słuchaczy U. J. P., które po kilku latach drzemki przypomniało sobie lepsze czasy, przybył do Warszawy Julian Przybóś i wygłosił odczyt „Cele i trasy awangardy”. Następnego dnia odbył się wieczór poetycki Przybósia; utwory jego recytowali: Henryk Ładosz i Maria Wiercińska.

Odczyt Przybósia (powtórzone nr. 25 bm. w *Zw. Zaw. Literatów Pol.*), intrzygujący swym tytułem: „Cele i trasy awangardy”, był przede wszystkim sprawozdaniem z rozwoju wielkich ruchów nowatorskich w sztuce europejskiej XX w. W przejrzysty i popularny sposób prelegent scharakteryzował futurizm i nadrealizm, bliżej zatrzymując się nad polskimi odmiannymi trybami, nad działalnością Peipera i *Zwrotnicy*. Wobec teorii estetycznych autora *Tędy* Przybóś zajmuje postawę krytyczną, odżegnując się od ideału retorycznego pseudonimowania w imię liryzmu. Ten liryzm nie podobny jest jednak do tradycyjnego liryzmu; idzie nie o opisywanie stanów uczuciowych, ani nawet nie o wyrażanie, ale o kreowanie ich w wierszu, tak jak się rodzą, rozwijają i giną. Poszukiwaniem nadrealistowskim, który zanurzając w głębinach podświadomości, zarzuca autor *Równania serca* zgubienie się w grząskim irracjonalizmie; przeciwstawia im postulat woli i świadomości. Tym mocnym akcentem zakończył się odczyt. Należy zacytować i podnieść jedną z ubocznych myśli odczytu. Przybóś — jeden z czołowych przedstawicieli nowej poezji — mocno podkreśla, że *moim celem o awangardzie w ogólnym sensie, bez dokładnego sprzecyzowania o kogo i o co chodzi, nie ma sensu*. Nie istnieje awangarda poetycka *in idea*; Peiper, Brzeczowski czy Przybóś — to odrębne indywidualności i odrębne postawy twórcze.

Prelekcja wywołała żywe zainteresowanie wśród licznie zebranej publiczności, rekrutującej się przeważnie z kół literackich i młodzieży akademickiej. W dyskusji wzięli udział pp. K. Irzykowski, J. Kott, A. Łąszowski, W. Kubacki, J. Szczepański, St. Otwinowski. Szczególnie ważnych i nowych momentów dyskusja nie wniosła. Nie mniejsze powodzenie miał wieczór autorski Przybósia. Wiersze wygłoszone na tym wieczorze tak były dobrze dobrane, że pokazywały ewolucję duchową i artystyczną poety od *Śrub* do *Równania serca*. W słowie wstępnym wiceprezes Koła Polonistów, p. Antoni Andrzejewski, zapowiedział, że recytacje nie będą poprzedzone wykładem teoretycznym: niech ujawni się, że nowa

poezja zdolna jest przemawiać sama przez się, bez interwencji pośredniczącej uczonych w piśmie! I rzeczywiście: przemówiła, choć nie ze wszystkim tak jak mogła być przemówić — z powodu recytatorów. Recytacje H. Ładosza były zbyt teatralne (w złym sensie tego wyrazu), głośne, naturalistyczne. Każdy „grom” z wierszy Przybósia grzmiał jak pałka w łeb, jak gdyby to był Tuwim a nie Przybóś. Wiercińska natomiast nabył podkreślała nastrojowo walor słowa; w jej ujęciu wizje poetyckie nie zarysowywały się ostro, lecz rozplywały w skojarzeniach emocjonalnych; każda „gwiazda” świeciła blade i trochę sentymentalnie, jak w liryce Młodej Polski.

Problem recytacji jest w ogóle trudnym problemem, który prosi się o poważne studia i przemyslenia. Być może, w utworach Przybósia (jak w ogóle w „nowej poezji”) recytatorzy powinni kłaść nacisk nie na jakości zmysłowe, które wydobywa się łatwo przez podnoszenie lub niżanie tonu (pierwsze — Ładosz, w duchu poetyki *Skamandra*; drugie — Wiercińska, w zmodernizowanym nieco stylu młodopolskim), ale na treści pojęciowej i wyobraźniowej, która w stylu nowoczesnym wysuwa się na miejsce dominujące. Trafnie precyzuje to poeta i tłumacz poezji Zbigniew Bielski: „*Zorganizowane marzenie rozkłada się nie na drgnienia serca i odpowiadające im słowa-dźwięki, ale na wizje odryśowane ostrym konturem znaczeń*. Trzeba umieć patrzeć a nie pisać” — w *Naszym Wyrazie* z października br.).

Należy jednak podkreślić, że interpretacja recytatorska Wiercińskiej, chociaż zupełnie zgodna z założeniami poetyki Przybósia, świadczyła o poważnym wysiłku, świadomości artystycznej i dobrze opanowanej technice wygłaszania. Kilka utworów z *Równania serca* wypadło w jej wykonaniu świetnie. I w ogóle wieczór ten, mimo zastrzeżeń, był triumfem poety. Słuchając jego najpiękniejszych utworów, czy to dawniejszych, umianych już prawie na pamięć jak *Krajobraz*, *Wieczór*, *Parada śmierci*, *Droga powrotna* czy też nowych jak *Z Tatr*, *Luk*, *Z rozłazem dwu mórz*, *Nowa róża*, mieliśmy niezchwiane przekonanie, że obucyemu z poezją, który wszedł już w okres męskiej dojrzałości twórczej i wiersz za wierszem postępuje naprzód w realizacji swojego mitu lirycznego o takiej samoistności i w takiej skali, jakiego nie było w naszej poezji od Bolesława Leśmiana.

LUDWIK FRYDE

Ci, co zwykłe z przekąsem mówią o wszelkiej sztuce mającej charakter „elitarny” i o instytucjach ją propagujących, nigdy zapewne nie zastanawiają się nad tym, czy owa „elitarność” wynika ze świadomych założeń artystycznych i norm organizacyjnych, czy też stanowi rezultat obiktywnych okoliczności, w jakich dana instytucja rozwija działalność. A różnice nie są tu przecież konieczne: istnieją pewne dziedziny twórczości, nie wymagające kontaktu z masami lub nawet unikające go celowo; bywają jednak i inne, które rzekomo elitarność zawdzięczają wyłącznie temu, że zasięg ich działalności oraz rezonans ich prac zacieśnia się z konieczności do garstki artystów-speców i „miłośników”, choć w innych warunkach społeczno-kulturalnych mogłyby ogarnąć kręgi znacznie szersze.

Do rządu organizacji, znajdujących się w takim właśnie położeniu, należy i Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej, które w ubiegłą sobotę zainaugurowało nowy sezon dwudziestą z rzędu audycją muzyki kameralnej. Patrząc na szczerpe rozmiary sali im. Karłowicza, w której P. T. M. W. audycje swe stale urządza, i na nieliczną przybywającą na nie publiczność — niespokoje się oprócz wrażeniu, że chodzi tu istotnie o imprezę przeznaczoną wyłącznie dla elity; ale dlaczego tylko dla elity? Dlatego że zainteresowanie muzyką kameralną, i to w dodatku współczesną, jest u nas w chwili obecnej znikom. Nie powinno to nikogo dziwić: kultura muzyczna w Polsce dopiero właściwie rośnie; Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej — to jedna z tych instytucji, które ją najczynniej kształtują i muszą pozostać do czasu organizami ekskluzywnymi, skupiając na razie przede wszystkim ludzi, pomnażających kapitał kultury muzycznej własną twórczością lub wkładem osobistej pracy organizatorskiej. Kadry chętnych i odpowiednio wyrobionych odbiorców przyłącza się do akcji później.

Ciekawy i ze smakiem zestawiony program sobotniego koncertu zawierał pięć pozycji, przy czym cztery z nich wykonano w sposób pierwszy. Ballady Ravela o owadach i ptakach („Le paon”, „Le grillon”, „Le cygne”, „Le martin-pêcheur” i „La pintade”), to wytwór idei muzyki „programowej”, która w swej najbardziej naiwnej i prymitywnej postaci skusiła świeżym urokiem najwybitniejszych kompozytorów nowoczesnych i dzięki nim przetrwała bujny renesans. Te drobne kompozycje wokalne nie przypominają oczywiście w niczym pompatycznej i namaszczonej *Tonmalerei*, są pełne polotu i dowcipu muzycznego. Teksty Judes Renarda — nieco akademickie, lecz ładne i proste — powinny być w przekładzie umieszczone w programach, gdyż bez ich zrozumienia przepada swoisty sens muzyczny tych zoologicznych „obrazków”. P. Doda Conrad, artysta o głosie niewielkim, wykonał je bardzo dobrze, inteligentnie i bez przejaśkrawień ekpresyjnych, które mogłyby tylko zaskodzić miłym drobiazgom ravelowskiemu.

Ten sam interpretator zapoznał słuchacza z *Epitafiami* Theodora Chanela do słów Waltera de la Mare. Gdyby nie wyrażona notka w programie, byłibymy przekonani, że teksty epitafiów zostały wyjęte z tomu amerykańskiego poety (podobno genialnego), Edgara Lee Masters, pt. *Spoon River Anthology*, o którym wspomina Iważkiewicz w *Pasjach białomierskich*, czyniąc swego bohatera Kanickiego autorem tych epitafiów. Z czterech króciutkich utworów (*Epitaphs*: „Alice Rood”, „Susanah Fry”, „Three sisters” i „Thomas Logg”) trudno wyciągać jakiegokolwiek wniosku co do indywidualności kompozytorskiej Chanela. Dokładnie zróżnicowane w charakterze i nastroju, *Epitafia* stanowią połączenie liryzmu z elementami „opisowymi” (nagrobek dziecka, piąka-niciponia, trojki starych panien itd.). Przez umieszczenie ich w repertuarze p. Conrad wystawił dobre świadectwo swym aspiracjom śpiewakom.

Sonatina Dariusza Milhauda na klarnet i fortepian odznacza się niepospolitym wykwintem i mozartowską niemal subtelnością, a przy tym w swych liniach melodycznych jest ogromnie prosta. Tylko że prostota Milhauda nie wypływa z ubóstwa inwencji — przeciwnie: z przeważliwienia ucha i z wiary we własne umiejętności. Trzeba być bardzo bogatym, by umieć się

tak ograniczać; trzeba znać wszystkie smaki i wyrafinowania, by tak mężnie móc z nich rezygnować. Utwór francuskiego nowatora jest nby ogólna wiejska potrawa, gdyż już przesyłną pozna *menu* z języczków słowiczych i osobliwych muren. W *Epitaph* sonatina Milhauda zachwyca szlachetnością wyrazu właściwą muzyce „czystej”, w której tyłż jest ziemięsi sielanki co igraszek obłoków i gwiazd.

Sobotnia audycja obejmowała także pierwsze wykonanie dwóch kompozycji polskich: *Fantaisie rapsodique* na skrzypce i fortepian Tadeusza Szeligowskiego i tria na klarnet, fagot i obój Stefana Kisielewskiego. *Fantaisie rapsodique* zdradza jakby pewne wpływy Szymanowskiego z jego wcześniejszych okresów; użył w niej monotonii napięć dynamicznych i brak szerszej skali rytmicznej. Wrażenie to umacniał gra p. Grażyna Baciewicz, sucha, jednostajna i surowa. O wiele ciekawiej wypadło *Trio* Kisielewskiego. W koncepcji przypomina ono architekturę, łączącą rzewny urok staromodnych wnętrz z linearną precyzją na wskroś nowoczesnej fasady. Melodyka tego tria — ligawkowa, fujarkowa, staroświecka, chwilałi prawie że moniuszkowska — ujeta została w karby śmiałej i oryginalnej harmonizacji. Śmiały wydaje się również dobór instrumentów: same „drzewo”. Każdy motyw jest podejmowany kolejno przez wszystkie instrumenty — jak w fudze; tylko w podziale funkcji obój został przez autora stanowczo skrzywdzony, wskutek czego partia obojowa spada niekiedy do roli akompaniamentu. Środkowa część kompozycji Kisielewskiego (menuet), kunsztowna, pełna lekkości i grajki, obfitej w nieklamane piękności. Autor *Tria*, nie tylko muzyk, lecz także zdolny i wrażliwy publicysta, wyjeżdża podobno za granicę na studia — należy mu szczerze życzyć powodzenia! U nas nie ma dotąd, niestety, wzorowej pepiniery, w której młodzi kompozytorzy mogliby doskonalić się i dojrzewać, pozostaje więc jedynie wyjście: wyjazd do zagranicznych ośrodków wiedzy muzycznej. Dobrze, że się im taki wyjazd umożliwilo.

Uwagi powyższe są impresjami laika. Ale może właśnie laik potrafi bez uprzedzeń ocenić wagę periodycznych audycji P. T. M. W. i zrobić im trochę zasłużonej reklamy. Dla pamięci: następny koncert kameralny P. T. M. W. odbędzie się 29 listopada!

ROMAN KOŁONIECKI

## LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatnio na łamach *Orędownika*, *Malego Dziennika*, *Prosto* z *Mostu* oraz *Kroniki Polski* i *Świata* miały miejsce wystąpienia przeciwko *Wymiarom*, w których zarzucono naszymu piśmie błąd to, że zachowało się niepatriotyczne w czasie odzyskiwania przez Polskę Złotą. Błąd to, że stanowi organ mniejszości żydowskiej w Łodzi, bądź jedno i drugie razem. Ponieważ sugestie te mogły przodostać się do tej części społeczeństwa, której opinii cenimy wysoko, pragniemy, korzystając z gościnności Pańskiego piśma, dać wyjaśnienie:

1) Nieprawdą jest, jakoby pomawiany o brak patriotyzmu artykuł pt. „Znak czasu” pióra Jerzego Korwin Kosarskiego (pseudonim Tadeusza Sarneckiego) w nr 4 *Wymiarów* ukazał się w okresie podniesionych przez Polskę żądań rewindykacyjnych pod adresem Czech. Artykuł ten, dotyczący w swojej myśli przewodniej sytuacji środkowo-europejskiej, napisany został w połowie sierpnia br. a opublikowany 3-go września br., czyli w momencie gdy jedynie III Rzesza domagała się autonomii dla Niemców sudeckich.

2) W sprawie rewindykacji przez Polskę ziemi załozniskiej *Wymiar* nie zajmowały stanowiska obojętne lub krytyczne, czego dowodem jest artykuł „Cierpieć pobratymstwo”, pisany w połowie września br. a drukowany w nr 5, który ukazał się w sprzedaży dn. 4 października rb.

3) Nieprawdą jest, że w skład redakcji *Wymiarów* wchodził poci Mieczysław Braun i Mieczysław Jastrun i że piśmo jest „organem mniejszościowym”. Redakcję *Wymiarów* stanowią Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew, a piśmo opiera swą pracę na współzależie szeregu pisarzy z Łodzi i spoza Łodzi, drukując każdą wartościową rzecz polskiego autora bez względu na jego pochodzenie.

W świetle powyższych faktów kampania przeciwko *Wymiarom* określonej części prasy nabiera właściwego wyrazu.

Redaktor i wydawca *Wymiarów*  
TADEUSZ SARNECKI

Łódź, dn. 24.X. 38 r.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie wraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kolonieccki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński